

OPINIE NIEBOHATERSKIE

DOROTA SEGDA:

To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, jest wyrazem pogardy do kobiet i stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. Pożalują.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowie Pani o swojej fuksówce?

DOROTA SEGDA: Niechętnie.

Dlaczego?

Nie chciałabym składać donosu na środowisko, które nie jest ani lepsze, ani gorsze niż całe społeczeństwo, ale jest moje.

Jako rektor Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie zakazała Pani fuksówki w tym roku.

Kilkaset lat temu studenckie otrząsiny polegały na tym, że rzucało się studentem do góry, z kilku metrów spadał na ziemię i niejednokrotnie poważnie uszkadzał sobie narządy wewnętrzne. Za moich cza-

sów nie dochodziło już do takiego natężenia fizycznej przemocy. Ostatnimi laty w Krakowie fuksówki wyglądały w ten sposób, że starsi studenci bardziej udawali gnębienie młodszych, niż robili to naprawdę. To była zabawa służąca integracji studentów, ale i temu, by im uprzytomnić, że muszą być twardzi.

DOROTA SEGDA (ur. 1966) jest aktorką teatralną i filmową, wykładowczynią Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie i jej rektorem w kadencjach 2016–20 oraz 2020–24. Występowała w spektaklach m.in. Jerzego Jarockiego, Jerzego Grzegorzewskiego, Jana Klaty i Moniki Strzępki. Zagrała w wielu filmach i serialach. Na zdjęciu: W Akademii Sztuk Teatralnych, Kraków, październik 2020 r.

leżać się ktoś, kto tzw. pozycję wykorzysta w celu upokarzania drugiego.

A ja podczas studiów, choć nie mieszałam w akademiku, w którym działy się najgorsze rzeczy – zimne prysznice i nocne kwarcówki – mimo wszystko doświadczyłam przemocy w murach szkoły. Koledzy z roku wyżej schwytali mnie na korytarzu i w lampach, jak na UB, w chamski sposób obrażali mnie mówiąc nieprzyjemne rzeczy dotyczące mojego wyglądu.

To jest właśnie ta kwarcówka?

A ja stałam jak to ciele i słuchałam. Potem nigdy już z tymi ludźmi nie chciałam mieć nic wspólnego. Znamienne, że ci najbardziej opresyjni byli mniej utalentowani, słuch o nich szybko zagał, być może przemocą kompensowali sobie braki. A pomieszczenie kompleksu wyższości z kompleksem niższości daje najgroźniejszą miksturę.

Była Pani asertywna, ale jednocześnie nie umiała powiedzieć „nie”.

Sama nie wiem, dlaczego.

Byłyśmy uczone, że „nie” w ustach kobiety brzmi fatalnie – może dlatego?

Opowiem taką sytuację: jestem młodzieńką aktorką i gram główną rolę w filmie węgierskim „Mój XX wiek”. Partneruje mi gwiazdor kina radzieckiego. Mówił o sobie „istoria sowietskogo kina”. Wtedy doświadczyłam MeToo – do dziś nie chce mi się wierzyć w to, że nie poszłam do producenta i nie powiedziałam, że jeżeli jeszcze raz ten facet mnie dotknie, to schodzę z planu i nie wracam.

To był rok 1988. Ne mówiło się jeszcze o MeToo.

Pamiętam dobrze to poczucie osamotnienia. Musiałam pływać w głębokiej wodzie, w ogóle nie umiejąc pływać. Wszyscy mówili po węgiersku, a ja komuniko-

wałam się za pośrednictwem tłumaczki, z którą nie miałam najlepszego kontaktu. Nie dostałam od niej wsparcia, ale też jej o nie stanowczo nie poprosiłam.

Zdjęcia odbywały się w Budapeszcie. Oczywiście tego aktora waliłam po łapach i po mordzie, lecz niewiele to dawało. Czego on nie wyprawiał: wdzierał się przez okno do willi, w której mieszałam. Właściciele posiadłości, małżeństwo Węgrów, nie mówili w żadnym innym języku i nie reagowali na to, co się dzieje. Może sądzili, że to normalne obyczaje między aktorami – rozgrywki męsko-damskie na planach filmowych.

Jak to Pani zniosła?

Jestem z pokolenia o wiele bardziej zahartowanego niż te młodsze. Byłam harcerką, jeździłam na obozy i na kolonie, z których wracałam z wszami. Dzięki tym doświadczeniom zdobyłam odporność – mam trochę grubsza skórę, będąc jednocześnie osobą wrażliwą.

Ale muszę jeszcze powiedzieć o jednej osobie, niezmiernie empatycznej – wspomniałam Ildikó Enyedi, reżyserce filmu „Mój XX wiek”, całkiem niedawno nominowanej do Oscara za „Duszę i ciało”. Z Ildikó spotkałam się dwa lata temu na festiwalu Nowe Horyzonty i po raz pierwszy po 30 latach opowiedziałam jej, co się działo na planie. Ildikó, feministka, była wstrząśnięta, że nic o tym nie wiedziała.

Większość kobiet milczy na ten temat przez dekady, a nawet przez całe życie.

Gdy zaczęła się era MeToo i studenci zadali mi pytanie, czy sama kiedyś doświadczyłam na planie tej formy przemocy, najpierw zaprzeczyłam, a dopiero po kilku dniach wróciła pamięć tamtych dni. Ale...

Zawahała się Pani...

Jednocześnie dość przerażona jestem tym, że MeToo ma drugi biegun skrajności. Kolega grający w filmie polsko-amerykańskim opowiadał, że podpisując umowę dotyczącą relacji damsko-męskich na planie rozglądał się, czy nie ma ukrytej kamery. Według tej umowy skomplementować koleżankę, że ładnie wygląda, to jest właściwie sprawa do sądu. Boję się, że nasze życie stanie się smutne, gdy poprawność polityczna osiągnie jeszcze wyższy poziom absurdu. W czasie inauguracji roku szkolnego powiedziałam: „Jeżeli ktoś z państwa będzie →

Twardzi, by wykonywać ten zawód?

Prawda jest też taka, że każdy tej twarości musi uczyć się na własnych doświadczeniach.

No a ta Pani fuksówka?

Pewnie jak każdy młody człowiek, który nie miał w domu żadnych tradycji teatralnych, dowiedziałam się, że istnieje taki rytuał, dopiero gdy zaczęłam studiować, czyli miałam 18 lat. I choć jestem osobą dość asertywną, nie przyszło mi do głowy, że mogę powiedzieć: „Spadaj, nie mam ochoty się w to bawić”. Dziś mówienia „nie” uczę studentów pierwszego roku. A w październiku, w przemówieniu inaugurującym rok akademicki, powiedziałam, że fuksówka nie jest potrzebna, by zostać aktorem. Jeżeli się ona komuś nie podoba, to nie bierze w niej udziału. Od tego roku zabroniłam jej w ogóle, bo w grupie zawsze może zna-

→ miał ochotę mi powiedzieć, że ładnie wyglądam, będzie mi bardzo miło”. Dlaczego nie możemy się w tym wszystkim zachowywać zwyczajnie?

Bo kobiety odreagowują to milczenie, którego i Pani zaznała.

Na uczelni wprowadziłam procedury antymobbingowe, m.in. do dyspozycji studentów jest rzecznik ds. etyki. Jednocześnie zauważam emocjonalną niedojrzałość młodych ludzi – zdarza się, że nakręcają histerię. Idzie się na imprezę na której, wiadomo, jest alkohol, kolega powie coś, co dla dziewczyny jest nie do przyjęcia, więc ona natychmiast zgłasza się o pomoc do rzecznika ds. etyki. Może mogłaby jednak najpierw powiedzieć: „odczep się!”? Mówię o prywatnych relacjach w grupie studentów, nie o pracy w Akademii!

A pamięta Pani chwilę, gdy po raz pierwszy weszła jako młodziutka aktorka do teatralnej garderoby?

Mam 21 lat, jestem jeszcze studentką, gram Sonię w „Zbrodni i karze”, starsi koledzy ze Starego Teatru przyjmują mnie z czułością.

Kto szczególnie?

Ania Dymna, Ewa Lassek, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Jurek Bińczycki, Jurek Trela, Jurek Radziwiłowicz, Krzysiu Globisz... Weszłam do rajku.

A w damskiej garderobie nie istniała hierarchiczność?

Hierarchiczność polegała tylko na tym, że ja podziwiałam i kochałam starsze aktorki, a one mnie też kochały i hołubiły. Zaznałam od ludzi z zespołu wyłącznie dobrych rzeczy i bardzo o to dbam, by dziś w podobny sposób przyjmować młodszych kolegów.

Anna Dymna czego konkretnie Panią nauczyła?

Malować się, bo ja nawet nie umiałam rząs sobie zrobić. „Płatonow” reżyserowany przez Filipa Bajona był pierwszym spektaklem, który grałam na dużej scenie, i wtedy z Anią mnóstwo czasu spędziłyśmy w garderobie. Ania wspominała, jak przyjmowała ją do zespołu Zofia Jaroszevska. Wielka aktorka. Siedząc w garderobie mówiła do niej, że pamięta siebie w tym lustrze, gdy była młoda. „Zobaczysz, miną lata, będziesz się jeszcze bardziej denerwowała przed każdą premierą,



Dorota Segda w spektaklu „Triumf Woli” na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port w Teatrze Miejskim w Gdyni, maj 2017 r.

bo wtedy odpowiedzialność jest większa i oczekiwania wobec ciebie coraz większe”. Jaroszevska powiedziała to Dymnej, Ania mnie, a ja teraz to samo mówię młodszym aktorkom.

A co Pani myśli, siedząc dziś przed lustrem w garderobie?

Śmieję się z przemijania.

Naprawdę Pani się śmieje?

Gram Julcię w „Pannach z Wilka” w reżyserii Agnieszki Glińskiej, cały ten spektakl jest o przemijaniu. Mówię tam monolog, który jest skonstruowany z fragmentów prozy Jarosława Iwaszkiewicza i Virginii Woolf. Pierwsze jego słowa brzmią: „Nie jestem już młoda...”. Siedząc przed lustrem kobieta zastanawia się, czym jest przemijanie i czym może być śmierć. Ten monolog sporo mnie kosztuje. Choć prywatnie nie pochylam się szczególnie nad upływem czasu, nie spędza mi on snu z powiek. A jednak gdy mówię o czasie słowami Virginii Woolf, zaczyna mnie to boleśnie dotykać.

Co szczególnie?

W tym monologu padają zdania: „Złękałam się tylko na chwilę, zanim zdążyłam się przygotować na swój widok, a przecież zawsze to robię”. Gdy porównuję się do swojego wizerunku na ekranie, to – nie ukrywam – robi to na mnie wrażenie. Człowiek ma jednak lepsze wyobrażenie siebie, a ekran jest okrutny – obnaża upływ czasu.

I tęskni Pani za sobą w młodości?

Za młodością to nie, lecz 35 lat mogłabym zachować nawet na długo. Ale nie narzekam jako aktorka. W teatrze minął czas, gdy najpierw grało się córkę lub siostrę, a od pewnego wieku wyłącznie ciocię czy mamę. I to były role drugoplanowe. Teraz gram w sztukach Pawła Demirskiego, u którego, niezależnie od wieku, każdy aktor i aktorka są równoprawni. W „Triumfie woli” jestem np. Kathrine Switzer – pierwszą kobietą biorącą udział w maratonie bostońskim. Udało się jej to tylko dlatego, że podczas rejestracji podała inicjały oraz nazwisko – K.V. Switzer, więc organizatorzy myśleli, że jest mężczyzną. A działo się to niedawno, pod koniec lat 60. Próbowano ją zepchnąć z trasy, ale mężczyźni biegnący obok otoczyli ją kordonem i tak biegli razem 40 kilometrów! Zawsze mam ciary, jak to opowiadam.

Kiedy jestem na scenie, nie widzę siebie. W filmie aktorka musi się konfrontować ze sobą na ekranie. Inna rzecz, że teraz w filmie gram mało.

Ale gdy w „Faustynie” zagrała Pani tytułową rolę, Danuta Szaflarska, która w filmie Jerzego Łukaszewicza wcieliła się w postać siostry Feliksy, w jednym z wywiadów powiedziała, że przyszłością kina jest Dorota Segda, z której emanuje niezwykle światło.

A myśmy się nawet z panią Danutą na planie nie spotkały. Ona była fenomenem, który zdarza się raz na kilka pokoleń. Kiedy to mówiła, była już wiekową damą polskiego kina, wtedy dziwnie zapomnianą. Minęło prawie dziesięć lat,

a ona dopiero zaczęła być rozchwytywana, po dziewięćdziesiątce grała fantastyczne role w filmie i w teatrze – m.in. w „Żarze” na podstawie Sándora Máraiego.

Wtedy gdy tak pięknie o mnie publicznie powiedziała, wzruszona napisałam do niej liścik z podziękowaniami i wysłałam do Teatru Współczesnego. I znowu minęło ileś lat, spotykam w Warszawie córkę pani Danuty, i córka mi mówi, że ten mój liścik bardzo mamę ucieszył.

Bo dobre słowo działa w obie strony.

I jeszcze jeden niezwykły gest podziwianej przeze mnie Ewy Lassek. To były czasy studenckie, Lassek była wykładowczynią. Na szkolnym korytarzu wyłoniła się z ciemności, podeszła do mnie i tym swoim drapieżnym głosem powiedziała, jednocześnie delikatnie dotykając mojej twarzy: „Ty jesteś taki słowiański Joas”. Bo na pierwszym roku wyglądałam jak 14-letni chłopczyk, miałam króciutkie jasne włosy. I proszę sobie wyobrazić, że już po trzydziestce zagrałam Joasa w „Sędziach” reżyserowanych przez Jerzego Grzegorzewskiego. Zawsze będę miała przed oczyma Ewę Lassek, która mnie naznaczyła do zagrania tej roli.

A czy ludzie piszą do Pani listy?

Piszą. Ale odpisuję tylko na wyjątkowe.

Czyli które?

Jedna z moich najbliższych przyjaciółek to kobieta, która się we mnie zakochała jako idolce. Byłam wtedy bardzo młodą aktorką, a ona jeszcze licealistką. I pisała do mnie tak poruszające listy, że najpierw jej odpisałam, a potem się z nią spotkałam i tak, krok po kroku, jest dziś jednym z najbliższych mi ludzi.

Co jeszcze ludzie piszą? Świat stał się toporniejszy, co również przełożyło się na pisanie listów. Najczęstszy szablon: „Pani grała w serialu, jestem Pani fanem, proszę mi podpisać zdjęcia” i w kopercie jest plik fotosów. Na takie listy nie odpisuję. Zauważyłam też, że jestem patronką nieszczęśliwych miłości. Kiedyś opowiedziałam o trudnym etapie związku z moim mężem i przez co musieliśmy przejść, by w końcu szczęśliwie ułożyło się nasze wspólne życie. I teraz dziewczyny, które mają ukochanych pozostających w innych związkach, piszą do mnie listy, gdzie otwierają serce rozdarte na kawałki, bo wiedzą, że ja to zrozumieję. Na takie listy też odpisuję.

Ostatnio ludzie podchodzą do mnie na ulicy, by gratulować gotowości do wyrażania opinii na tematy społeczne:

„Podziwiam panią za odwagę”.

Przeraża mnie, że żyjemy w czasach, w których wyrażenie swojej opinii uznawane jest za bohaterstwo.

Co Pani odpisuje?

Cóż mogę odpisać? „Trzymaj się, dziewczyno, co ma być, to będzie, ale walcz o swoje szczęście”.

Przychodzą też listy z prośbami. Ktoś pisze, że jestem bogata, mam dużo garderoby i noszę ten sam rozmiar, więc prosi, bym swoje rzeczy przysyłała na podany adres. Są też dramatyczne prośby o pieniądze, a do koperty włożony jest odciinek emerytury albo wyciąg z raty kredytu, który trzeba spłacać.

Ostatnio jako aktorka-rektorka otrzymuję epistoły od pewnego zaangażowanego środowiska krakowskiego z zapytaniem, dlaczego na froncie uczelni jest wywieszona tęcza flaga, która ma ponoć obrażać dzieci. Albo jakiś pan napisał wzburzony, że w naszej szkole każemy rozbierać się do naga – ktoś mu taką informację przekazał. Napisał, że podobne praktyki stosowano w obozach koncentracyjnych – naziści kazali rozbierać się więźniarkom. Nie wiem, co taki człowiek ma w głowie, żeby podobne rzeczy wymyślać.

Przerażające.

Ciekawe jest też to, że ostatnimi laty, jeśli ludzie podchodzą do mnie na ulicy, to przede wszystkim po to, by gratulować mi gotowości do wyrażania opinii na tematy społeczne, w ogóle światopoglądowe. Mówią: „Podziwiam panią za odwagę”. I muszę powiedzieć, bez cienia fałszywej skromności, że to mnie przeraża.

Co?

Że żyjemy w czasach, w których wyrażenie swojej opinii uznawane jest za bohaterstwo.

Publicznie powiedziała Pani kiedyś o nieudanych próbach *in vitro*.

Latami do tego dojrzywałam. Czułam, że pójdzie za tym fala hejtu – nie chciało mi się tego znosić. A teraz na hejt zobojętniałam. Czym jest fala hejtu wobec tych dziesiątek, setek, tysięcy nieszczęśliwych kobiet, którym w Polsce odmawia się prawa do macierzyństwa? W kraju, w którym tak bardzo nie szanuje się życia już poczętego, a jednocześnie zmusza kobiety do rodzenia zdeformowanych płodów tylko po to, żeby je ochrzcić i niech umierają. Dlaczego wyrzuca się z Sejmu matki osób niepełnosprawnych, a państwo odmawia im godnej pomocy finansowej?

A Pani prywatne doświadczenie?

Nie wiem, ile równowartości drogich samochodów wydałam na *in vitro* w Polsce i za granicą, ale wiem, ile to kosztuje emocjonalne. I jeśli ktoś twierdzi, że to jest przywilej, a nawet zachcianka bogatego, to nie ma rozumu i serca. Moja przyjaciółka, która mieszka w Nowym Jorku, poddała się *in vitro* i dziś jest mamą 16-latką. Tyle samo ją to kosztowało, ile mnie, ale dzięki niej wiem, jakie za tym idzie szczęście, miłość, spełnienie. Odmawianie parom możliwości *in vitro* jest niemoralne. W końcu wygaśnie gatunek ludzki, bo bezpłodnych par jest coraz więcej i więcej. Jeśli Pan Bóg jest i chce, by człowiek istniał, to z tego powodu wymyślił *in vitro*.

Piekielnie to wszystko trudne.

Zrobiliśmy z mężem wszystko, co w naszej mocy, by potem nie żałować tego, że nie próbowaliśmy.

Gdy w 2016 r. została Pani wybrana rektorem i odbywała się inauguracja roku akademickiego, a w ten sam dzień został zorganizowany Czarny Marsz – protest przeciw ustawie całkowicie zakazującej aborcji – Pani na znak solidarności z kobietami zamiast gronostajów założyła czarny kołnierz.

Zrobiłam to również dlatego, by studentki i pracownice uczelni nie miały dylematu, czy po inauguracji mają zostać na zajęciach czy iść na Czarny Marsz. →

→ Zarządziłam godziny rektorskie i w ten sposób zmanifestowałam solidarność z wszystkimi kobietami walczącymi o swoje prawa. Przy okazji na zawsze zrezygnowałam z gronostajów, nawet jeśli udawały je martwe króliki.

Gdyby teraz była inauguracja, wywiesiłabym czarną flagę. To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. To wyraz takiej pogardy i nienawiści w stosunku do kobiet, że pozałują tego, mam nadzieję. Siła jest kobietą. Co ma wspólnego Jezus z nietolerancją wobec osób LGBT, z tą aborcyjną hipokryzją i patriarchatem?

Kiedy obejrzałam film Aleksandry Potoczek o ks. Adamie Bonieckim, popłakałam się ze wzruszenia i z rozpacz. Miło, że mogę to powiedzieć w „Tygodniku”. Dlaczego takich ludzi jest tak mało? Dlaczego katolicyzm w Polsce wyładował w Radiu Maryja? Dlaczego miłosierdzie zastąpiono pychą? Ja z takim Kościołem, wypranym z chrześcijaństwa, nie chcę mieć nic wspólnego.

Już wtedy, gdy poparłam czarny protest, wielu osobom to się nie spodobało. Dlaczego jednak miałabym się tym przejmować?

Ani trochę?

Przejmuję się, kiedy to zaczyna dotyczyć finansów uczelni, kiedy widzę, że nieprzychylność władzy bierze się z tego, że mam tzw. odwagę wypowiedzieć zdanie. I wziąć słabszego w obronę, choćby w symboliczny sposób, jak wywieszając tęczową flagę. Uważam, że przemilczanie sprawy to zwyczajny akt tchórzostwa. Ale to nie zmienia faktu, że nie mogę powiedzieć i zrobić tego wszystkiego, co bym chciała, ponieważ jestem odpowiedzialna za 500 studentów i za drugie tyle pracowników uczelni. Dlatego coraz częściej gryzę się w język.

Jest Pani jedną z dwunastu kobiet na stanowisku rektora publicznej uczelni.

Ludzie władzy z jednej strony lubią się „podeprzeć” aktorką i publicznie wypowiedzieć jej nazwisko, żeby było wiadomo, że jesteśmy w dobrej relacji. A jednocześnie jest to podszyte pewnym pobłażaniem, jakby mówili o swoim wyobrażeniu miłej blondynki, a nie o pani rektor. Nie powiedzieliby w ten sposób o panu rektorze. Natomiast ze

strony rektorów krakowskich doświadczyłam samych dobrych rzeczy, tu nie ma cienia pobłażania, jest szacunek i partnerstwo.

I obowiązki rektora nie zasysają Pani czasu przeznaczonego na aktorstwo?

Co to za rektor szkoły teatralnej, który nie gra? Rektor musi chodzić po ziemi – wiedzieć, co się dzieje w teatrze i w filmie.

Choć funkcję rektora objęłam w bardzo trudnych warunkach. Wchodziła wtedy w życie reforma ministra Jarosława Gowina, pisano nową ustawę o szkolnictwie wyższym, toczyła się walka o pozycję uczelni artystycznych, w tym teatralnych. Trzeba było wymyślić nowe przepisy i statut – no... koszmar. Nienawidzę czytać regulaminów i instrukcji obsługi, kompletnie się do tego nie nadaję. A dla AST to zrobiłam.

Teraz parę razy znowu ugryzę się w język. Mogę powiedzieć tyle: kiedy już pewne rzeczy zostały rozwiązane, kiedy zreformowałam zamiejscowe wydziały Akademii – bo w praktyce jestem rektorem w trzech miastach, Krakowie, Wrocławiu i Bytomiu – na to wszystko przychodzi pandemia, coś, czego człowiek sam by nie wymyślił.

Co ona zmieniła w Pani pracy?

O ile te wszystkie najtrudniejsze rzeczy robiłam po to, by mieć satysfakcję, że udało się naprawić to, co popsute, o tyle teraz z dnia na dzień pograżam się w coraz większej frustracji. Co wymyślę, to już nazajutrz muszę weryfikować. Walczę o to, by przynajmniej garstka studentów pracowała naprawdę, czyli na scenie. Ale jeden przypadek choroby albo samo zetknięcie się z kimś zakażonym wysyła całe grupy studentów i pedagogów na izolację. To jest ciężkie, pomimo że cały zeszły semestr odbył się zdalnie. Błyskawicznie wdrożyłam zdalne nauczanie, ale najpierw trzeba było wszystko zorganizować – przecież myśmy nigdy wcześniej nie uczyli aktorstwa przez ekran komputera czy komórki.

I jakie są dziś efekty?

Powstały wspaniałe spektakle, jestem wzruszona, kiedy o tym mówię. To dowód na to, ile w studentach jest pasji, a w pedagogach kreatywnej mocy. Na

stronie uczelni można zobaczyć „Wesele”, egzamin moich studentów – namacalny dowód na to, że sztuka może powstawać w trudnych warunkach. Ja siedzę przed komputerem w Krakowie, Panna Młoda w Stargardzie Szczecińskim, Pan Młody w Białymstoku, Chochoł na Podlasiu, czyli każdy w zupełnie innej części Polski. I powstaje „Wesele” online – aktualne, jak zawsze. Są w nim prawdziwe emocje i autentyczny dialog skrzący się humorem.

Kiedyś Stanisław Barańczak specjalnie dla Andrzeja Wajdy przetłumaczył „Hamleta”, a potem zobaczył Panią na scenie jako Ofelię. I tak chciał, by Pani zagrała Julię, że zrobił przekład „Romea i Julii”. Nie zagrała Pani.

Zaczęłyśmy naszą rozmowę od tego, że w aktorstwie trzeba być twardym. Ostatnio sama zostałam fatalnie potraktowana przez producenta. Przygotowywałam się do roli, o której marzyłam, PISF dał nawet pieniądze na podstawie scen, w których zagrałam. A w przeddzień zdjęć dowiedziałam się, że tego już nie gram ja, rolę dostała inna aktorka. Znajomi reżyserzy twierdzą, że stało się tak z powodu koprodukcji TVP, która przestała mnie lubić. Nie wiem, jak jest naprawdę, może byłam za mało zdolna.

I?

I chwilę jest przykro, a potem działam dalej. Takie sytuacje zdarzają się wszystkim aktorkom na świecie. Powtarzam studentkom, że dopóki nie stoimy na planie, nie mamy podpisanej umowy, wszystko może wywrócić się do góry nogami.

Ale czy nie żałuje Pani roli Julii?

Dwukrotnie ze studentami wystawiłam „Romea i Julię” właśnie w tłumaczeniu Barańczaka. Więc ten tekst niosę dalej w teatralny świat. Zagrałam tyle cudownych ról, o których nigdy nie marzyłam, a nie zagrałam Julii. Przecież w życiu zawsze coś nie wychodzi. Ale za to mam listy od Barańczaka. W tym zawodzie trzeba mieć bardzo dużo szczęścia i ja go doświadczyłam. Wolę trzymać się tego, co dobre, a nie rozpamiętywać porażki – to byłaby równia pochyła i czysta destrukcja. Przecież tyle rzeczy przede mną!

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA